

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Warszawski „Balkon”

Dopiero niedawno pisałem tutaj o dramaturgii Jeana Geneta w związku z ciekawym przedstawieniem „Pokojówek”, zrealizowanym przez trzy pełne zapatu artystki w piwnicy ZLP przy ul. Kanoniczej, a już znowu przychodzi mi pisać o Genecie. Tym razem z okazji jego „Balkonu”, wystawionego na scenie warszawskiego teatru „Ateneum”. Sztuka ta — mocno skandalizująca — cieszy się naturalnie ogromnym powodzeniem i z pewnych względów jest to nawet powodzenie zastużone.

Owe „pewne względy”, to po prostu względy czysto teatralne, a ściślej: pomysłowość i nawet pewnego rodzaju brawura, z jaką zainscenizował i wyreżyserował „Balkon” Andrzej Pawłowski. Ponieważ rzecz cała dzieje się w domu publicznym — który jest zresztą wielką metaforą, jakkolwiek ukazaną niezwykle realistycznie — a autor bynajmniej nie kępuje się w doborze odpowiednich efektów, jak również słownictwa, realizacja „Balkonu” wymagała od reżysera także dużej kultury osobistej, jeśli chciał sztukę pokazać tak, żeby można ją było oglądać bez obrzydzenia.

Toteż Pawłowski dowiódł swej kultury, jakkolwiek o kilka szczegółów można by się z nim spierać. Gorzej, że spierać się z nim można także o sprawę zasadniczą: o samą potrzebę wystawienia „Balkonu”. Pawłowski usprawiedliwia się w programie przedstawienia, pisząc, że „porcja Genetowskiego relatywizmu, rozbijanie naszego skostniałego obrazu rzeczywistości, podważanie kilku ogólnych prawd może nam się tylko przydać i dopomóc. Mam wrażenie — pisze — że odrobina Genetowskiego podejrzliwego, ostrego spojrzenia na siebie, innych, na świat, pozwoli nam lepiej wszystko zrozumieć, wyzwoli nas z kilku dogmatów i zarazem przekona, że wszystko, co nas otacza jest teatrem, w którym czasem pozory są prawdą, a prawda pozorem”.

No dobrze, na to zgoda, gdyby tak było istotnie, choć to idee wcale nie nowe. Ale ten sam Pawłowski parę zdań przedtem przyznaje, że „pogląd Geneta na życie społeczne jest (...) absolutnym negatywizmem”. Więc relatywizm czy negatywizm? Musimy się jednak zdecydować na negatywizm, a nawet jeszcze mocniej: na nihilizm. Genet jest nihilistą odznaczającym się „ślepych fanatyzmem, który każe mu całe społeczeństwo, bez żadnej różnicy, wyrzucać na śmietnik, z wyjątkiem brudu, w którym zdaje się ptawić z lubością”. Tymi ostatnimi słowami (które zresztą niedawno już tutaj cytowałem) scharakteryzował Geneta sam wielki Louis Jouvet. Jeśli więc uwierzyć Genetowi, to pisarz ten w niczym nie może nam pomóc. Myli się Pawłowski. Jeśli uwierzyć Genetowi — pozostaje nam tylko rozpacz. I właśnie: obrzydzenie.

Niemniej to Jouvet wprowadził Geneta na scenę paryską. Tylko że były to „Pokojówek”, rzecz od „Balkonu” znacznie — żeby tak powiedzieć — łagodniejsza, a także lepsza dramaturgicznie. I był to rok 1947 (lub 1948). Więc dawne czasy. I choć „Balkon”, podobnie jak inne dramaty Geneta, powstał później (1956), to przecież już na tyle dawno, że jakkolwiek możemy uwierzyć, iż na swój czas był jakimś objawieniem — choćby objawieniem szczególnego stosunku autora do teatru — dzisiaj wydaje nam się po prostu... przestarzały. Zawarte w nim prawdy — jeśli są prawdami — doszczętnie się zbanalizowały, a forma — mająca epatować — nie epatuje już nikogo, poza widzem prymitywnym. Tak więc, o ile niedawne krakowskie „Pokojówek” wciąż jeszcze potrafią wstrząsać, to ów warszawski „Balkon” potrafi jeszcze — jak wspominałem na wstępie — wzbudzić zainteresowanie i uznanie jedynie dla świetnej roboty inscenizatora i reżysera.

No, i aktorów. Szczególnie trudne zadanie miały tu piękne pensjonariuszki „pani Irmy”, ale też wywiązały się z niego bez zarzutu, a nawet z dużym wdziękiem. Podobały mi się wszystkie, a najbardziej Grażyna Strachota (Klacz Generała). Z olbrzymiej i skomplikowanej roli Irmy Królowej wybrnęła gładko, a chwilami znakomicie Barbara Wrzesińska. Interesująca była Barbara Dziekan (Carmen) i Maria Ciumelis (Chantal). Jerzy Kamas (Biskup), Leonard Pietraszak (Komendant policji), Marian Kociniak (Sędzia), Tadeusz Borowski (Kat-Artur), Zebrak (Jan Kociniak) i Jerzy Kryszak (Wysłannik) dopełniali obsady czołowych ról. Tlum rewolucjonistów efektownie atakował scenę z widowni. „Salony” pani Irmy ciekawie rozświetlały się w odpowiednich chwilach, ukazując rozgrywające się w nich intymne sceny (to zresztą już zastęga scenografa — Marcina Stajewskiego). Było więc ruchliwie i efektownie, a mimo to — zwłaszcza w drugiej połowie spektaklu — trochę nudno.

Ponieważ „Balkon” na scenie ujawnia wyraźnie swoje „peknięcie” dramaturgiczne, właściwie mógłby się skończyć w momencie ogłoszenia Irmy Królową. Co więcej, Genet zdawał sobie z tego sprawę, pisząc w przedstawi do swej sztuki, iż „życzyłby sobie, żeby nie skreślano, nie skracać żadnej kwestii pod pretekstem przyspieszenia tempa, lepszej jasności, lub też argumentując, że wszystko to zostało już wcześniej powiedziane, albo że publiczność i bez tego zrozumie, albo też, że się nudzi” (przekład podobnie jak całej sztuki — Marii Skibniewskiej i Jerzego Lisowskiego).

Andrzej Pawłowski zastosował się do życzeń autora. Ale właśnie dlatego pod koniec przedstawienia nudziłem się potężnie. Nie szkodzi. „Balkon” ma i tak powodzenie zapewnione. Dostać się na tę sztukę jest prawdziwą sztuką.